

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 26go Numeru: „Jan Wyhowski, przez Michała Czajkowskiego, Monaster. — Krytyka: o najnowszych utworach Chopina. — Wyjątki z listu p. Czejszner. — J. U. Niemcewicz.“

JAN WYHOWSKI

przez

Michała Czajkowskiego.

III.

MONASTER.

(Dokończenie.)

Oni wszyscy trzej klonią czoła przed Samotnikiem, a on w górę po orlemu patrzy, i oni mają przed nim czego się klonić, i on ma czego w górę tak patrzeć — od stworzenia świata, aż do jego końca nie było i nie będzie męża, z takim szczerem sercem, z takim dzielnym ramieniem, jak on — to Piotr Konaszewicz Sahajdaczny. — Oni odemnie stronią, oni mnie nie zrozumieli i mało kto rozumiał. — Patrz, to stary Iwan kniaz Różyński, ten kochał kozaczy, ale nie długo nad nią przywoził — to Wenzyk, dusza laska zkozaczała u nas — tam to Świergowski, zna go Wołoszyn, u niego Bóg, dobra wiara, i kozacza sława, a więcej o nie nie dbał, i dla tych trzech rzeczy zginął. — Ten młody, co się ciągle zżyma, to Szach, jemu się wciąż zdaje, że on na Caro-

gród płynie — tak brwi marszczy, jakby miał huknąć w pień, w pień Bisurmanów. — Ten ponury, smutny, to Skalozub — sturczyć się nie chciał, jak męczennik chrześcijański zginął — to kozaczy święty. —

I ci odemnie stronią, oni mnie nie zrozumieli. Patrz, oto Podkowa, dziecina Wołoszy, na jego szyi jeszcze, jeszcze widno krew od laskiego miecza — to sprawka wyzuwicka, taką zapłatę w imieniu Matki Polski oni nam dawali. — Za nim Pawluk, taki blady, jak gdyby coby tylko z laskiego pala zeszedł — i to wyzuwicka sprawa. I Nalewajka, cały wranach, tego bracia Lachowie za zaufanie, jakie w nich położył, w kotle, jak sadło jakie gotowali, i to wyzuwicka sprawa. Ci do mnie się garną, bo oni mnie nie zrozumieli, i nikt nie rozumiał. — Chódź córko, może ty mnie zrozumiesz. — Szli dalej pomiędzy tymi ludźmi, ale Chmielnicki milczał, a Helena patrzała na nich. Wszyscy mieli przy czapkach czaple pióra. — Przeszli jezioro i poszli w ziemię, Chmielnicki szedł śmiało, Helena drżała, ale szła za nim. Tam w pieczarze stanął, stuknął nogą — i złota korona z berłem zjawiała się na ziemi. — Córko,

mnie zwał i będą zwali zdrajcą, wyrzucić będą, zem prowadził w poddaństwo nieprzyjacielowi, zem zdradzał Matkę Polskę. O nie! chciałem ładu w Polsce — chciałem ją podeprzeć, postawić na nogi. Król Władysław mi świadkiem, ale Wyzuwici, to gadzina, co roztacza Polskę, ale pankowie bezładni, to kąkol w narodzie, z nimi Polska, to pruchno, nic z niej nie można zrobić, chyba samemu z nią razem spruchnieć. Nieprzyjacielowi bakę świeciłem, żeby go zgnieść z kolei — i czaple pióro zamienić na koronę kozaczą.

Rzucił czapkę z czaplem piórem o ziemię, a włożył na głowę koronę. — Córko, krwi moja, ty mnie zrozumiesz może. —

Helena padła na kolana: Ojczy! Ojczy!

Tak mocno krzyknęła, że Stefanida zerwała się z łóżka: — Siostró, co ci jest takiego. I Helena otworzyła oczy. — Ojczy — Ojczy — Stefanido — Co ci jest takiego — Nasz ojciec — tam u ziemi — na jeziorze — Co ci jest takiego? — patrz na mnie — Heleno! —

Helena otwiera oczy, siostra przy niej, ona na łóżku. — Księżycowe światło płynie po izbie — a jój w oczach jeszcze majaczeją i czaple pióra i korona — a tam z za okna śpiew z drumkaniem leci.

Czaple pióro, hej jaśnieje —
Hej korona złotem sieje —
Dla hetmana, króla Pana —
Hej dla mężów, cór Bohdana.

Helena skryła oczy w dłonie: — Ojciec, nasz ojciec! — Siostró moja Heleno — co tobie jest takiego? — I obie czarnobrewki tuliły się do siebie, jak dwa gołąbki, kiedy zasłyszają świergot Szulaka — a księżyc srebrem sypał i sypał, a do koła było cicho i głucho. —

IV.

D R O G A.

Szlakiem baturyńskim bieży kilkunastu jeźdźców, a na rączych koniach, i bachmatom tatarskim nie zawodzić z nimi o wytrwałość, — i

arabskie neźdy nie szparsze od nich biegiem, i czerkieskie dżanety w susach nie raźniejsze — to dniewrowe, kozacze konie — i kozaków na sobie niosą. —

— Hej Sirku, czy nie w ślepego my gramy?

— Ho! ho! spuść się na mnie, ojczy Neczaju, psi węch ja mam, a sokole oko. — Pokaże się, kto kogo w pole wywiedzie. — Ta, żeby to Bóg dał, żeby tak było. —

— Ojczy Neczaju, tak będzie, ty wiesz, że jak który z Sirków wsiedzie na trop, czy tatarski, czy diabli — darmo zaskoki — darmo kluczki, on swojego dojdzie. Niech nam w oczy pluną ludzie, jeśli pokaże się, że tarantowaty koń, albo czarnobrewa dziewczyna wymknęła się Sirkom.

Tu Daniel Wyhowski koniem skoczył. —

— Ot-ot — coś majaczeje. —

Sirko w poprzek drogę przebiegl. —

— Nie tak szparko, jeszcze nie czas. —

— Ale on nam się wymknie. —

— Sluchaj no Danielu, żebym ja tylko o sobie myślał, tobym gonil — może to i moja ptaszka tam się czerni; ale gdyby to i oni — ptaszko może nic nie wyspiwać, bo może o niczem nie wie — a diabłu wyrwij słowo z ust, to będziesz i sam diabeł — wtenczas to dopiero łam sobie głowę, gdzie droga i dokąd jechać. Panowie bracia, wierzcie Sirkowi — miejmy go na oku, a on nas zaprowadzi. — O nieraz — nieraz — tak wodzili Sirków samiż Tatarowie i do tabunów hańskich — i do haremów hańskich.

Stary Neczaj wąs musnął.

— Taże ty dobrze mówisz, musi być twoja prawda — zresztą, nie wszystkim nam rozkazywać, tylko jednemu — bo inaczej, to i najlepsza rzecz, na durne imie pójdzie. — Jechali stępem, a tam w dali coś majaczało i het bie-gło przed nimi — a tak daleko, że i kozacze oko nie mogło rozpoznać, co to takiego.

Już ku wieczorowi się zabierało — po szerokim stepie promienie słoneczne pomiotem jak len się słały — a pastwo stepowe, jedno leciało

na noclegi, drugie dziwnemi głosy homonilo po szuwarach — bez pastuchów wiodą źrebce tabuny, a ziemia dudni pod kopytami. Siwe woły idą przez burzany i ryczą. — Czaban gra w sopilkę, batogiem klaszcze, ku futorom pędzi welniaste barany. — Het po polach, gromadkami, pojedynczo idą młodyce, idą dziewczęta ze żniwa — na głowach wianki z pszenicy, z blawatka — za pasem sierpy — a z ust pioski dźwięczą. — Idą kosarze, na plecach kosy, u góry z pomiędzy grabek żelazca jeszcze resztkami promieni słonecznych błyszczą. — I wiązaczce niosą resztki przewrosel z pola, żeby ich rosa nie zmoczyła. — Wszystko tak, jak gdyby w tym kraju wojny nie było. — I rzecz nie dziwna, nieprzyjaciel tam, jak na gospodarstwo się sadowił, i nie niszczył tego, co miał za swoje, a pan Wyhowski tak szybko, tak graczo się zwinął, że lud Boży, ani się obejrzał, gdzie wróg się podział. —

Wszystko tam było, jak być powinno. — Słońce zachodziło, rosa padała, a mrok ciemniał.

Kozacy jechali a jechali. — Sirko zajrzał sioło, dawne Horodyszczce — tam ów maniak znikł, i już go widno nie było. —

— Ojciec Neczaju, tutaj nad jarem przenocujmy. —
a czemuż nie w siole? —

— Dla tego, że nie w siole. — Ot' tak sobie powiedział Sirko. —

Neczaj zdjął czapkę. —

— Za przeproszeniem WMśc Pana, jam zapomniat, że to ty Watażko, już więcej tego nie będzie. —

— Widzicie ojciec Neczaju, żebyśmy byli w siole, mnieby skorciało do czarnobrewki jakiej — a to rzecz nie potrzebna, kiedy ma się co innego robić. —

Niebawem kozacy siedzieli, leżeli nad jarem, a konie w jarze się pasty. — Daniel zły, murtkotny, od ludzi się odsunął, burką się obwinął, i tam do niej coś pomrukiwał. — Neczaj inna natura, w swojej markotności do ludzi się gar-

nał, i rozmawiał i słuchał — od kozaczęj dumki smutek jak mógł, to odganiał — a Sirko harcował z myślami, jak z Tatarami, jakby tu starego diabła w szory ubrać, a czarnobrewkęputywlańską w rączki dostać. —

Po jarugach wiatr świszczę, diabeł gdzieś harce wyprawia, kozacy nie śpią, o diablích sztuczkach dogadują. — Jeden z Sabatyńców gorzałki pociągnął, z lulki zakurzył, parę razy przytknął wargami. —

— Ot' panowie bracia, wy temu nie uwierzycie, a mnie się raz przytrafiło: — Było to jeszcze za nieboszczyka króla Władysława, dobry to był człowiek, on bardziej lubił kozaków, jak panków lackich — mówią ludzie, że on dobrze pil, musiał tedy w winie prawdę znaleźć, że z kozakami można i ładu dojść, i do dobra wszystko naprowadzić — a z lackimi pankami, to będzie mądry, jeśli końca dojdzie — diabeł by ich porwał: każdy dmie się jak paw, choć pusty jak pęcherz — wszystko tylko — MPanie, nie pozwalam, a jak przyjdzie ciągnąć wóz ojczyzny, to ten w prawo, to ten w lewo — a wóz na miejscu stoi, jeśli się nie połamie — nic dobrego robia — ale diabeł ich tam pobierz, tu nie o tem rzecz. — Barabasz psia wiara był naszym hetmanem, a pan Chmielnicki jeszcze w pierze nie porastał. — W kaniowskim zamku my wtenczas byli, ja stałem na straży, a barabasz pił w zamku z panami Lachami. — Ciemno było, i noc chłodna, a szabla nie grzała w rękę — i kamień u nogi nie grzał. — Puszczczyk nie dobrze puhaczał na dachu, psy wyły i biegły nad Dniepr — i trzy gwiazdy latawce w Dniepr spadły — znaki nie konieczne samowite — aż tu do mnie coś biegnie, a tupocze — silniej ścisnąłem szablę w rękę — i zacząłem mówić — wszelaki duch Pana Boga chwali. Tupotanie ustało, a wyraźnie słyszałem me-he-he — jak gdyby cap zamekczal — i tak trzy razy się powtarzało — i to było o samej północy — ja nikomu nie gadałem o tem, ale podumałem sobie — źle się dzieje — i źle się też

stało: nazajutrz rano przyjechał wojewoda kijowski, wtenczas był nim pan Kisiel, z tym laskonogim wyzuwita. — I zaraz Barabasz tak się zaprzedał lackim pankom, że i wiarę i swobodę kozaczą chciał puścić na przepadle imie — otoż cap swoje wymekczał. — Potem już później, kiedy Chmielniczenko ciągnął na braci Lachów, myśmy byli przy Barabaszu, bo Sabatyńce zostali wiernymi Matce Polsce, byliśmy w obozie z wielkim hetmanem Potockim, znowu w nocy byłem na straży, i cap po trzykroć razy mekczał. — Z rana przyjechał wyzuwita — myśmy poszli pod Żółte wody i wszystko diabli wzięli. —

— Twój diabeł to był prawdziwie diabła wart, nie taki jak ojca Sydora Hańskiego. — Rzekł sotnik Iwanowski.

— A jakież to był diabeł Hańskiego — zapytał Mykita Czernik? —

— Jaki? ot' ja powiem — wiecie, że stary Damian Hański mieszkał na odludnym futrze — aż jednej nocy przyszedł do niego kusy diabeł, skłonił się i powiedział: — Zapisz mnie swoją duszę, a ja ci dam pełną beczkę czerwienców. —

Damian to był zuch — zgoda, niech i tak będzie — tylko nie dziś, ale jutro. — Diabeł przystał — Damian cały dzień kopał, a kopał jamę, i postawił na niej beczkę, ale wprzód dno wybił — O północy przyszedł Diabeł — sypał złoto i sypał — i dziwił się mocno, że niemożna napelnić — już nareszcie dosypywał — Damian chciał z czubem, Diabeł mówił dosyć — ale on targował się jak z żydem — strychował — giał czerwienice, czy dobre złoto — ważył na palcach — i tak wszystko kierował, mimo że Diabeł gorący, jak w ukropie parzony — aż kur zapiał — a on jeszcze duszy nie zapisał. — Diabeł naglił, Damian nudził — kur raz drugi zapiał — Diabeł grozi — a Damian krzyż święcony położył na diabelskim złocie — aż diabeł i pisnął i hknął — a tu kur raz trzeci zapiał — Diabeł czmychnął, ale krzy-

knął: żeby żaden z twoich nie chodził z szablą po złoto. — Zasumował Damian, bo to diabeł przekleństwo na kozaka, zamówić go od szabli — ale złota było co korcami mierzyć. — Zaraz Damian wystawił cerkiew, a księdza Czerńca miał nieodstępny przy sobie — i diabeł więcej nie powracał. — Prawda, że teraz Hańscy się nie biją, ale co mają groszy, to mają.

— No, to lubię, Damian diabła ubrał w szory.

— Niech go trzysta diabłów weźmie z takim ubraniem, wolałbym ja z torbami chodzić, jak wiedzieć o tem, że moje dzieci nie będą kozakami z szablą i ze spisą. —

— Ej, nie zawsze to przekleństwo diabła się sprawdza. —

— No, to chwacki areszt położył Hańsk, na diabłem złocie. — Wiatr zawył w jarudze a Sabatyńcowi widno coś się przysłyszało, bo krzyżem świętym się przeżegnał. —

— Co ci jest takiego?

— Jak Boga Kocham, cap mekcze. —

Smij się z tego Sabatyńcze, choćby mektał, to nic nie wymekce — prędzej żaba żabięta piersią pokarmi — jak tu na tej Ukrainie wyzuwita się zjawi.

— Ho, panowie bracia, jam widział, jakie to złe wróży. —

— Dajmy pokój temu, ot' niech Iwanowski wywoła nam diabła Hańskiego, on może nam nasypie złota w czapki, a każdy z nas krzyżkiem złoto przyaresztuje. —

Któryś tam snem zamoczony, stęknął. —

— E — i rosa oczy wyje, nim się Hańskiego diabeł zjawi. — Tak kozacy między sobą bałakali — i pomalutku jeden po drugim zachrapał. — Neczaj zasnął, staremu Wołokicie do żonki nie bardzo się spieszy — lulkę na krótkim cybuchu miał w ustach, koło niego stała baklanka z wódką — te rzeczy przydatniejsze kozakowi w drodze, jak młoda żonka — z sobą je zabierze i na czajkę i na kulbakę, a z młodą żonką po hulankach wojennych się nie wozic. — Konie pasły się w jarze, chrupo-

tały trawę, i drzemały nad trawą — a księżyc z nieba strażował nad nimi — on nie spał — i Daniel Wyhowski nie spał — często obydwu na siebie patrzeli — księżyc był blady, smutny — i Daniel zły, markotny — obydwu milczeli, ale obydwu dumali. — Księżyc o ziemi kochance wieki wieków w kolo niej kołuje, kołuje — a dostać jej nie może, choćby do jednego pocałunku. — Daniel po niebie, po ziemi czarnobrewki szuka; klnie Sirka, czemu czekać każe, a sam jak dziecko bez niańki jechać się nie doważa, i nie wie, gdzieby jechał, gdzieby szukał. — Dłużej nie wytrzymał. —

— Hej, do koni, już świt! —

Czutko — rzutko kozacy na nogi się porwali, a każdy jeszcze oczów nie otworzył, a już za szablę dłonią chwycił. — Daniel gwizdnał raz — drugi — i trzeci — zbudziły się i konie w jarze i jak psy na pogwizd w czwał biegly do kozaków. —

Sirko kiwnął głową. —

— Z ciebie nocnica Danielu — ale kiedyś my wstali, to i w drogę, koni nie balamucić. —

Stary Neczaj wziął za baktankę. —

— Na dobrydzień panowie bracia. —

Łyknał i kolejno jeden po drugim z baktanki łykali — potem skrzesal ognia, zapalił lulkę — i wszyscy kozacy pozapalali tytoń i kulbaczyli konie. —

Staniała się, pelzła twarz księżycowa, jak twarz dziewicy, kiedy bladeść zetrze rumieniec. — Świt prószył się po niebiosach — a mgła z po nad ziemi tumańiła się het precz szeroko — a kozacy wsiedli na koni i pojechali w drogę. — Konie stępą kroczą i nozdrzami piją mgłę. — Kozacy tytoń kurzą i łykają dym z mgły — a cichemi dumkami Bogu się modlą. — Czas jakiś tak cicho jechali, jak gdyby się wałęsali za lisem, albo za Tatarem po stepie. —

Szumno, wrzawno ptactwo śpiewa, ptactwo leci — tabuny czwają — woly, owce suną na paszę, ludzie sielscy na robotę — a wszyscy

śpiewem, rzeniem, rykiem Boga chwałą, chwałą dzień biały.

Sirko jak pies trapowik, po drodze wzrokiem rypie, czasem okiem w step spojry, i bieży przodem, konia nie w cały kłus puszcza, kiedy rosa oschnie i na suchym calcu ślad kół ledwie gdziegdzie się znaczy — posyła w strony na wywiadki — ludzie mówią, wóz się tędy pokocił, w prawo, w step — ot' tędy, gdzie orzeł poleciał — ot' tamtędy, gdzie ten tabun się pasie. — Koszarze musieli widzieć — pytajcie tych czumaków, oni go musieli zdybać. — Gdyby orzeł chciał gadać, onby najlepiej powiedział — ciągle nad nim leciał, dopiero koło ot tamtej trzydziestej mogily go porzucił. Takimi poszlakami biegly, i nad wieczorem znowu im niby wóz zamajaczał daleko. — I nazajutrz dzień po rozwianiu się tumannęj mgly, znowu ślad znaleźli, i poszłaku się dopytali. — I tak biegly trzy dni całe — aż nad wieczorem zamajaczała im Baturyńska puszcza.

Słońce w puszcę zapadło, i nie przed puszcą dojrzeć nie można było; przyjechali pod puszcę, i radzi musieli tam noclegiem stanąć. — Sirko znał okolice, wiedział, gdzie monaster kmetował, że tam musiał czarownik z putywlańską dziewczyną podybać — ale w nocy taką ciemną puszcą — niekoniecznie pewno jechać — zwłaszcza, że diabli mogliby drogę stumanić, i gdzieś w takie wertepy zawieść, zkądby ciężko się wlabudać. — A kozak, choć odważny jak orzeł, ostrożny jak czapla. —

Już świtem wjechali w puszcę, a tak cicho, tak nyszkciem jechali, żeby diabła nie zbudzić — jak gdyby on mógł i w dzień Boży po puszczy buszować. — Już dojeżdżali do bagna.

Daniel wysforował się naprzód, a choć koni pod nim dzielny, i ścieżka w tém miejscu gładka, — taki talerz zebrał, że aż pyskiem ziemi zachwycił. —

— Daniel Wyhowski zerwał konia i ścieżką sadził w skoki, kozacy za nim — a Sirko już

nie mógł przedrzeć się naprzód, tylko krzychał — lewo — w prawo!

Przed bramą monasteru stał Wysoczan, a podle niego kilku z przydworniej służby. — Kozacze ucho zasłyszało tentent konia — już miał wejść w mury, i dać rozkazy obrony, kiedy na dąbrowie pokazał się jeszcze jeden, za nim drugi, trzeci i inni. — Czy poznał Wysoczan tych jeźdźców, czy taką garstkę za lekce ważył, bo postąpił naprzód, a służba za nim — ale mieli dobyte szable — blysk szablic zapalił krew Danielowi — wychwycił szablę z pochwy, konia przypuścił — koń wojenny wprost na Wysoczana sadził, a nim ten zdołał zemknąć się, wpadł na niego, i zwałił piersiami na ziemię — I przeniósł przez służbę jeźdźca, płatającego szablą na wiatr, i na wiatr wołającego: —

— Psie — gdzie moja żona?

Podniósł się Wysoczan, służba mu biegła na ratunek, nie bardzo rada, że powstał zły pan — on wypluwał ziemię z gęby — a kiedy go stary Neczaj witał kozackim żartem: —

— Panie bracie, najadłeś się salamachy, chódź popijemy, a gdzie moja czarnobrewka?

Wysoczan mrucał. —

— Sto diabłów by jego ojca i matkę — dam ja mu salamachy — poczekaj. —

Brama monasteru już się otworzyła, Daniel ścisnął Helenę, Helena tuliła się do niego. — Czarnopręgi robił bokami i parskął. — Stefaniada szła naprzeciw staremu mężowi. — I Pustywłanka już spostrzegła Sirka znachora. — Wysoczan trzęsł się udobruchał, i kozacy się witali. — Czerniec błogosławił wszystkich wodą święconą, i krzyżem świętym. — Kiedy za murami monasteru rudobrody Naum zaśpiewał:

Cześć hetmańska, nasza sława,
Buńczuk kary i buława,
Czaple pióro, pieczęć złota,
Wszystko poszło w obce wrota.

Tak ciche było to śpiewanie, że choć dosłyszaly wszystkie uszy ten śpiew — nikt słów nie zrozumiał — ale Helena je rozumiała —

spojrzała na męża, nie w oczy, nie na postawę, ale na baranią czapkę — westchnęła — nad nią nie powiewało czaple pióro!

— Co ci jest takiego, moja luba?

— Nic mi nie jest — ja ciebie kocham. —

I pocałunek mu dała, ale patrzyła na baranią czapkę, a tam nie ma czaplego pióra. —

K R Y T Y K A.

O najnowszych utworach Chopina.

Deux Nocturnes op. 37. Ballade op. 38. Troisième Scherzo op. 39. Deux Polonaises op. 40. 2me Impromptu op. 36. Sonate op. 35. Valse op. 42. Quatre Mazurkas op. 41.) Trois nouvelles Etudes pour le Piano chez Schlesinger à Berlin.*

Z dumą i prawdziwym rozrzewnieniem donosimy o 9ciu, od Maja zeszłego roku, aż do tego czasu wyszłych utworach Chopina. O jakże zawsze nowym, jak niewyczerpanym, jak potężnym jest jeniusz naszego wielkiego wieszca muzycznego! (To miano albowiem w najszczytniejszym swem znaczeniu mu się przynależy) Jakże mało takich, którzy tak, jak on, umieją ukoić, pokrzepić zbolale serce, wzbudzić błogie i lube wspomnienia! Tu się nauczcie, kompozytorowie, jak wszelkie mozolne ślęczenie wasze, jak wszelkie trudy i starania podejmowane około teoretycznego nauczania się kunsztu, są nadaremne, jeśli nie macie tej iskry Boskiej, tlejącej wewnątrz, tego twórczego ducha, który wszystko, cokolwiek stwarza, oznacza piętnem mistrzostwa, prawdy i jenuzu. Chopin jest jednym z tych, że tak powiem, pomazańców Boskich, którzy w to wszystko, czegokolwiek się dotkną, umieją wlać życie, w sobie gorejące, którzy każdą piękną myśl umieją ująć w powabną formę, bo u nich piękność myśli nierozdzielna od piękności formy; obie zespalają w jeden piękny utwór kunsztu.

Dodajmy do tego tę nutę narodową, mniej więcej przebijającą się, jak nie czerwona przez wszystkie płody Chopina, polóżmy na szali jego własną indywidualność, ten żar uczucia, tę bujność wyobraźni, tę nadobność i świeżość myśli; a przekonamy się, że naśladowanie takiego męża, zawsze musi spelnzać na niczem, lub może się tylko wyrodzić w niezgrabne małpowanie i w karykaturę. Zapomniawszy o tem, że takowe naśladowanie w ogóle jest niegodnym zaprzaniem się swej własnej indywidual-

ności, niektórzy z utalentowanych młodzieńców wzięli sobie za wzór właśnie to, co jest w Chopinie słabem, w mniemaniu, że właśnie najjenialniejszą jego stronę uchwycili; i tak wpadli na różne manowce i bezdroża.

Wszakże są ludzie wyżsi nad wszelkie naśladowanie, np. Shakspeare, Sofokles, którzy samotni na niebie piśmiennictwa i sztuki, jak rzadkie meteory przyświecają. Do nich policzyłbym i naszego Chopina. Jeśli słuszne powszechne zdanie, że Mickiewicz dopiero stworzył poezję rodzimą, to równem prawem powiedzieć można, że Chopin stworzył muzykę narodową. W jego muzyce zaiste charakter narodowy w najpiękniejszym się objawia blasku; to samo tam powietrze, którem my oddychamy, to samo niebo, do którego oczy wznosimy, ta sama tęskność i smętność, która się w piosnkach naszego ludu przebijają. On najrzadziej wyśpiewał naszą niedolę, on nam najlepiej umie rozpowiadać o naszej przeszłej wielkości, o naszych nadziejach, on jeden wysłał najśodszy miód z kwiatów na niwie ojczystej, tak bujnie rosnących, on sam jakby poszeptem guślarza umie w naszym łonie wywołać i rozburzyć grę namiętności i melodyjnym śpiewem ją ukoić; on jest jednym z najgodniejszych reprezentantów naszej narodowości. Cześć mu i wdzięczność!

Jakoż i dzieła powyż wymienione, jasny dają dowód niewyczerpanej płodności jego geniuszu i widocznie przeciwko tym świadczą, którzy twierdzą, że z czasem słabnie i karleje twórczość poety, nie pomnąc, że Sofokles najcudniejsze swe dramy w późnej dopiero tworzył starości, że Beethoven swą dziewiątą symfonią, która jest tryumfem nowszej muzyki, w pięćdziesiątym napisał roku. Owszem Chopin, jeśli się nie mylimy, zdaje się z dojrzałym wiekiem przychodzić do głębszego rozpoznania swego kunsztu, bo mniej w pomienionych dziełach tej dzikiej i chorobliwej boleści, mniej excentryczności, jaka według zdania niektórych zbyt surowych krytyków, dziwnym się czasem miała u niego wprzód wywnętrzać sposobem. Jakkolwiek bądź, to w tym względzie nadmienić należy, że nie trzeba go sądzić na obcą skalę, lecz z nim czuć i jak on rozumieć ducha naszej muzyki i poezji, jeśli sąd ma być słuszny.

Ze wszystkich wyżej wspomnianych dzieł bez wahania pierwszeństwo daję Scherzu. Zajmującą nader jest rzeczą uważać, jak początkowy krotchwilny utworów muzycznych tego rodzaju charakter, zmienił się z czasem i jak twórczy i wszechwładny geniusz Beethovena zupełnie inne nadał im piętno: nie ujdzie to bowiem haczości bieglego znawcy, jak nieraz żarty i krotchwile Beethovena ostonione są, jakby krepą żalobną. Jest to niejako uśmiech łzawy, dziwne humorystyczne połączenie radości i swywoli ze smutkiem. W swych to Scherzach Beethoven najbardziej, że się tak wyrażę, jeanpaulizuje. Bardziej jeszcze wydoskonalił ten gatunek muzyki Chopin. Gdy bowiem

Scherzo w utworach poprzedników jego było tylko wplatanie w kwartetty, kwintetty, symfonie i inne utwory sonatowe, on je niejako usamowolnił, wyłączył, rozszerzył i utworzył z niego osobny gatunek sztuk muzycznych. Wyżej wymienione Scherzo, jest trzecią kompozycją naszego rodaka w tym rodzaju. Po krótkim tajemniczym wstępie, potężnie występuje tema i wraża się swym dziwnym, urywkowym i namiętnym unisono w serce słuchacza. Po kilku przejściach i powtórzeniu pierwszego tematu, następuje melodia z Des dur, prawdziwe pienie aniołów, jaką tylko Chopin utworzyć potrafi, przeplatana passażami, któreby do napowietrznych dźwięków harmoniki porównać można. Kilka przechodnich i przygotowanych modulacji wprowadza pierwsze tema, również unisono z całą swą przerażającą jego dzikością i po krótkim wspomnieniu owej niebiańskiej i uroczej melodi, wszystko w ewalujących namiętnych passażach, niby potok wezbrany, zdąży ku końcowi. Wrażenie, jakie całość tego dzieła po sobie zostawia, jest nie zatarte.

(Dokończenie w następującym Numerze.)

Wyjątek z listu Pana Czeszner, autora dzieła o Karpatach.

Opis mój ogranicza się na Bieskidy i Tatry i z nimi równoległe szczyty, rozciągające się aż do wielkiej równiny węgierskiej; obejmuje zatem płat kraju polskiego, około 15 mil szeroki, a 40 mil długi: zawierający najwyższe góry dawnej Polski, najwyższe na całym wschodzie Europy, dotąd w najgłówniejszych tylko zarysach znajome. Praca moja zamierza wyjaśnić stosunki fizyczne i jeologiczne tych gór w szczegółowym opisie; tymczasem wykonałem liczne pomiary najwyższych gór, tudzież wsi, mianowicie polskich; rozpoznawałem skład ziemi i zawarte pozostałości organiczne. Gdy w obecnym czasie największą wagę do nich przywiązują uczeni, uważam, że potrzeba dać im rysunki, wykonane z największą troskliwością; aże nawet w Berlinie nie litografują się dzieła, na które kosztów, choćby największych nie żalowano; zatem mojem niezmiennem jest życzeniem, wydać litografie w Bonnie, Monachium, albo Paryżu i to pod moim okiem. Pragnę bowiem, aby polskie skamieniałości, dotąd nigdzie nie poznane, wyszły na świat, tak, aby służyły za wzór do wynalezienia podobnych w innych krajach.

Powtórę, załączone będą dwie mapy jeologiczne, albo ryte na miedzi, albo litografowane, które następnie zostaną illuminowane. Potrzebie, przecięcia wypadnie kazać ryć na miedzi, a następnie kolorować; różnice litografowane albowiem byłyby nie zbyt wielkie, może się to da na cynku robić. Z tej szkicy łatwo wniesić, że niniejsze dzieło znaczne za sobą pociągnie koszta; o ile w stanie

byłem je obrać, przeniosą 2000 talarów, a dojść mogą do 3000, jeżeli się będzie biło 300 eksemplarzy, na większą ilość kosztą się znacznie podwyższą, albowiem tablice bardzo wiele kosztują, a każdej mapy wymalowanie dochodzi do trzech talarów: tak jest bowiem zmusna ta praca. Co się tyczy druku, 700 eksemplarzy, sądzę, że to za zbyt wielką liczbą; w Niemczech bowiem, gdzie tytu jest ciężko uczonych, nigdy nad 500 eksemplarzy uczonej książki nie tłoczą, a cóż dopiero mówić o nas. Sądzę przeto, że do 300 ograniczyć. Z tego wyniknie nieco wysoka cena, ale podobne książki są wszędzie drogie bardzo i tak *Lethea Brouna* 60 arkuszy tekstu i 56 tablic, kosztuje 14 Tal.: tablice w części bardzo są mierne; *Agassiza Monographie* kosztuje 1szy poszyt 17 Złp., a składa się 4 arkuszy tekstu i 5 tablic, wybornie zrobionych, które mi służą niejako za wzór. — *Philipsa* dzieło *Illustration of the geology of Yorhshine* tom drugi, złożony z 33 arkuszy druku, 24 tablic i mapy, kosztuje 106 złotych polskich. Gdy się położy cena na moją książkę 100 złotych, sądzę, że nie będzie zbyt wysoka i podobna, jak gdzie indziej bywa dawana, gdzie masa znajduje się czytelników. Co się tyczy tekstu do tego dzieła, ten wyniesie 60 arkuszy; życzyłbym mieć je wydrukowane in 4to, literami podobnymi, jak w *Mochackiego* dziełach pośmiertnych, na białym papierze.

Jeszcze słów kilka o J. U. Niemcewiczu.

W jednym z pism polskich *Stefan Witwicki* opisuje w ten sposób ostatnie chwile Niemcewicza:

Opatrzność błogosławiąc jakiej rodzinie, zachowuje jej długo przy życiu starca, naczelnika, ojca, który jest, jakoby widomym węzłem, widomą jednością całego plemienia, w którym wszyscy rodziny członkowie znajdują się, łączą, kochają, przez którego Bóg jest, że tak powiem, jednym ciągiem. Jest też to błogosławieństwo Opatrzności dla narodu, gdy mu zostawia przeznaczonych i cziłą powszechną na czoło jego wyniesionych starców przewodników, ojców politycznych. Nie każdy naród i nie w każdej bytu swego epoce może podobnych mężów po-

kazać, mężów mówię, w których tak się skupia i wciela całe jego życie, iż stają się, jakoby uosobionym narodem. Jednym z takich ojców, przez których Opatrzność błogosławi narodowi, takim wcielonym narodem *Człowiek-Polską* przez dwie ostatnie ćwierci wieku był J. U. Niemcewicz. Przykład cnot narodowych, chluba nasza nawet u obcych, przed kilku jeszcze dniami przewodniczący obchodom pamiątek krajowych, zebraniom naukowym, pełny, acz w podeszłej starości, wszystkich jesze sił ducha.

Zaslugi pióra J. U. Niemcewicza nie są jeszcze cennione. Przyzna kiedyś potomność, że on, jak z jednej strony wyniósł i przechował z niknącej przeszłości głos dawnej Polski, tak z drugiej wszystko, co w naszej literaturze życie wziąć miało, pierwszy poruszył, zaczął, lub wskazał. Co go także między pisarzami polskimi znamionuje, to rzadka wytrwałność i ustawiczność pracy. Pisał jeszcze kilkanaście godzin przed zgonem i gdy już czuć w członkach zaczynał zimno przychodzącej śmierci.

Obarczon ośmdziesięcią kilką laty, a przytem smutkami tułactwa, przeczuwał sędziwy starzec od niejakiego czasu zbliżający się ostatni moment, i chociaż prócz coraz bardziej upadających nóg, nie zachodziła w zdrowiu jego żadna zmiana, obraz śmierci ciągle przed sobą nosił: „już mię nie na tym świecie nie obchodzi, pisał 24. Marca n. r. do jednego z rodaków, nie mam przed oczyma, jak świat przyszedł i śmierć, i czuję się kończącym.“ (*Dok. w n. N.*)

W drukarni na Garbarach pod Numerem 45. dostać można następujących książek:

- Gabinet Medali* polskich przez hr. *Edw. Raczyńskiego*. Tom III. 7½ Tal.
- Kodex Dyplomatyczny* Wielkiej-Polski, przez hr. *Edw. Raczyńskiego*. 6 Tal.
- Zbiór dramatyczny*, zawierający *Ludgardę Kropińskiego*, i *Mędrzec Wybickiego*, z manuskryptu wydane przez hr. *Edw. Raczyńskiego*. 3 Złp.
- Materyały do panowania St. Leszczyńskiego*, przez hr. *Edw. Raczyńskiego*. 3 Złp.
- Kollataja o Stanie Oświaty*, p. hr. *Ed. Raczyńskiego*. 2 Tomy. 1 Tal.
- Anna*, powieść *M. Czajkowskiego*. 2 Tomy. 2 Tal.
- M. Marchockiego* *Pamiętniki o Wojnie Moskiewskiej*. 1 Tal.
- Prenumerata* na dzieło: „*Dzieje Kościola Helweckiego w Litwie*“, przez *J. Łukaszewicza*. 2 Tomy z rycinami. 4 Tal.



Od Redakcyi.

Szanowni Prenumeratorowie *Orędownika*, raczą wcześniej w *Królewskich Pocztamtach* złożyć Prenumeratę w ilości 9 Złotych polskich na drugie półrocze, zaczynające się od 1. Lipca, aby przerwy w nadsyłaniu Numerów nie doznali.

Redakcyja *Orędownika*: *A. Popłinski. J. Łukaszewicz.*